ROK I. | Listopad 1908 | ZESZYT I.

GRYF 

Pismo dla spraw kaszubskich.

Wychodzi raz na miesiąc

Abonament ćwierćroczny z przesyłką pod opaską mr. 1,65
Abonament na poczcie mr. 1,50 kwartalnie.
Adr. redakcyi: „Gryf" Kościerzyna—Berent Wpr.
Wydawca Dr. Majkowski.
Drukiem H. Fellera nast. S. Czyżewskiego w Gdańsku.

Nasz program.

Nowe pismo, aczkolwiek w skromnych wychodzące rozmiarach, powinno mieć racyę bytu i wypełnić istniejącą wśród naszego piśmiennictwa lukę. Inaczej bowiem nie można się spodziewać, ażeby się rozwijało, tem mniej, jeżeli w tak trudnych i nieprzyjaznych warunkach wychodzić musi, jak nasze pismo tu na kaszubach.

Zachętą i bodźcem do wydawania pisma, zajmującego się sprawami społecznemi i kulturalnemi na Kaszubach, były dla nas uwagi następujące:

Do dziś dnia o kresach kaszubskich wśród inteligentnego ogółu społeczeństwa polskiego często dziwne i zgoła błędne istnieją pojęcia. Urywcze artykuły dzienników, osobiste wrażenia kuracyuszy copockich, wywiady u osób, żyjących dłuższy lub krótszy czas wśród kaszubów, a mimo to zupełnie obcych przyrodzie i duchowi ludu kaszubskiego, tworzą często materyały do obrazu Kaszub i Kaszubów chybionego na wskroś. Na jednem tylko polu i to w dziedzinie językoznawstwa dokładnei ściśle naukowe posiadamy prace, wykonane przez swoich, nie mówiąc o licznych publikacyach na ten temat ogłoszonych przez Niemców. Zanotować tu z uznaniem należy nazwiska

 Gryf czyli białozór, herb kaszubski. Wyraz ten pochodzi od łacińsk. Gryps, 2gi przypadek Gryphis, po grecku: Γρύφ, 2gi przypadek Γρυπός. — W naszych bajkach

ks. G. Pobłockiego, autora pierwszego słownika kaszubskiego, Stefana Ramułta, Łęgowskiego i Nitscha. Ale i na tem polu prześcignęli nas Niemcy, pomiędzy którymi żyjący obecnie w Kartuzach Dr. Fryderyk Lorentz największe położył zasługi.

Podpada na pierwszy rzut oka, że właśnie sprawa językowa na Kaszubach tak żywo zainteresowała społeczeństwo. Polega to na tem, że na tym punkcie system giermanizacyjny zasadza dzwignię, ażeby podług sasady „divide et impera" rozbić jedność Kaszub z Polską i tem łatwiej kresy nadbałtyckie zgiermanizować. Językoznawcy bowiem nie są zgodni co do stanowiska kaszubszczyzny do języka polskiego. Jedni, a znajdziemy ich tak w obozie niemieckim jak i polskim, dają kaszubskiej mowie stanowisko odrębnego, aczkolwiek bardzo do polskiego przybliżonego języka, inni upatrują w niej narzecze języka polskiego. Naszem zdaniem całej tej kwestyi zbyt wielkie przypisuje się znaczenie. Jakkolwiek bądź kiedyś nauka rozstrzygnie, w rzeczywistości mowa kaszubska jak dotąd pozostanie wobec polskiego języka w roli narzecza. Wystarczy na dowód przytoczyć chociaż tylko dawne śpiewniki i katechizmy „kaszubskie" wydane w XVI i XVII wieku dla ewangielickich Kaszubów nad jeziorami Łebskiem i Gardzyńskiem w dzisiejszej Pomeranii przez pastorów Krofeja i Mostnika. Język tych książek jest polski, przesadzony licznemi kaszubizmami.—
Spór uczony z hasłami: tu język odrębny — tu narzecze! nie zdolen naszem zdaniem wpłynąć po dziś dzień już na stosunek Kaszub do Polski. Istnieją silniejsze więzy, łączące nas w jeden naród wspólność kościelna, kulturalna, wspólna tradycya historyczna i — wspólna niedola.

Jeżeli atoli ominiemy kwestyę językoznawstwa kaszubskiego to na innych dziedzinach życia Kaszuby dla ogółu polskiego są po większej części terra incognita. Prawda, Derdowski, pisząc swoją pieśń o Kulczyku, który pod królem Sobkiem szedł pod Wiedeń na Turki i pogany, rozpoczyna ją słowy: „Piękny kraju kaszubsci, zemnio obiecano!"—Lecz rodacy z dalszych stron, zwiedzający Kaszuby wygłaszali sąd inny albo zgoła przeciwny. Już poczciwy Długosz uwiecznił zdanie, że „cassubitica gleba non sit apta flori nobilitatis. Nieco przychylniej wyrażał się Slązak ks. Damroth, piszący pod pseudonimem Czesława Lubińskiego, który przez szereg lat

był dyrektorem seminarium nauczycielskiego w Kościerzynie. Ale i on, chociaż był poetą, nie zdołał uchwycić oryginalnej piękności ziemi kaszubskiej, ani wniknąć głębiej w istotę życia Kaszubów. W swoim opisie Kaszub, który w roku 1886 wyszedł u Michałowskiego w Pelplinie pod tytułem „Szkice z ziemi i historyi Prus królewskich.“ zdradza autor, skądinąd Kaszubom bardzo życzliwy, taką powierzchowność w sądach o przyrodzie i ludności na Kaszubach i tyle notuje błędów co do historyi lokalnej, że żal nas bierze, jeżeli zważymy, że to jedyna polska książka, zawierająca krótką monografię Kaszub. Niechcemy z tego autorowi atoli czynić zarzutu, Stał on, jako i dziś większość ziomków naszych z dalszej Polski pod wpływem dawnych przesądów,—przeciwnie uznanie jemu się należy, że zrobił pierwszą nieśmiałą próbę wyłamania się z pod nich.

Kto chce bowiem Kaszuby poznać, ten niech nie szuka ich w gwarze eleganckich Copot, ani nie kroczy bitemi drogami, które jakby na sromotę przerzynają najczęściej najmonotonniejsze okolice Kaszub. Ale tam, kędy kolej ani stopa turysty nie dotarła, nad jeziorami, wśród wzgórz i borów znajdzie wsie, zaludnione przez oraczy i rybaków mieszkających w domach, które noszą znamię ręki mistrza rodzimego: — zdrowy i silny naród na łonie szorstkiej ale oryginalnej piękności przyrody. A bliżej poznawszy ich tryb życia, zadziwi się tej swojskiej, rodzimej kulturze gburskiej. Zadaniem naszem będzie, działać informująco pod tym względem, żywiąc nadzieję, że uda się wśród szybko dokonującej się zmiany, utrwalić niejeden objaw życia Kaszubów i przyswoić go kulturze naszej polskiej.

Tem gorliwiej się podejmujemy tej pracy, czem bardziej sobie uprzytomimy, że nazwa Kaszuba zawierała u swoich i obcych zawsze jakiś cień lekceważenia i nawet pogardy. Książe Radziwiłł „Panie kochanku!“ zwykł był przezywać Wielkopolan Kaszubami, a IMĆ Pan Marcin Nieborowski, podkomorzy sochaczewski w odpowiedzi na satyry Krysztofa Opalińskiego, sprowadzającego Szwedów na Polskę, stawiał Kaszubów w jednym rzędzie z żydami i cyganami, pisząc:

„Nawet Żyd, Cygan i gruby Kaszuba
Swych Ryńskich owiec w ostach odbieżawszy,
Szedł z nim na wojnę, bardziej na rabunek!“—

Nawet piewca „Pieśni o ziemi naszej" Kaszubów nie znał Śpiewa on i górali i Litwinów i Żmudź świętą i nawet — — Rusinów, ale o Kaszubach przemilczał, chociaż ta ziemia i lud na niej żyjący stanowią twierdzę nadmorską ojczyzny, wierną Jej mimo ucisku ze strony obcych i lekceważenia przez swoich przez tyle wieków aż do dni naszych. Doczekał się Wincenty Pol, że jeszcze za życia gorzką uczynił mu wymówkę jeden z obywateli tej ziemi, skarząc się:

„Piewco polski! Gdyś nam nucił,
Gdzie lud polski, czeladź Boża,
Czemuś okiem swem nie rzucił
Na szlak Wisły aż do morza,
Na Bałtyka modre wody?
Byłbyś widział na pół śpiące
Powalone polskie rody
Dziś do życia wracające.—
Gdy więc pieśń Twa znów odpłynie;
Wlicz je w szereg polskich dzieci,
Daj świadectwo tej krainie,
Nim Twój duch do nieba wzleci!—"

Nim atoli piewca zdołał naprawić złe, duch jego opuścił ziemię, a „Pieśń o ziemi naszej" nie daje świadectwa o kaszubskiej krainie.

Mimo takich słusznych żalów niezapoznajemy, że w obecnej dobie ogół braci naszych z dalszych stron Polski żywo się interesuje życiem naszem i życzliwą nam podają dłoń, nie szczędząc gorących słów zachęty do wytrwania w walce eksterminacyjnej, którą na równi z bracią wszystkich ziem polskich staczać musimy. Pismo nasze starać się będzie przez informowanie o naszych stosunkach, o ile takowe odrębną we warunkach lokalnych przybierają postać, zacieśnić jeszcze bardziej więzy, łączące nas w jeden naród

Tem bardziej podkreślanie tej łączności potrzebne, jeżeli widzimy, że i Niemcy w ostatnim czasie zajęli się na szerszą skalę badaniem właściwości ludu kaszubskiego. W tym celu powstało przed dwoma laty w Kartuzach stowarzyszenie pod nazwą: „Verein für kaschubische Volkskunde." Zajmujemy wobec tego towarzystwa życzliwe stanowisko, tem chętniej, że na czele stoi p. Dr. F. Lorentz, znany zaszczytnie pracownik na niwie językoznawstwa kaszu-

bskiego. Kierowany przez niego „Verein für kaschubische Volkskunde“ w dwóch dotychczas wydanych rocznikach podał wiązankę materyałów do ludoznawstwa na Kaszubach. Lecz zadaniem tegoż towarzystwa może być tylko zbieranie, nie zaś zachowanie. My tymczasem, wierząc w odrodzenie Kaszub chcemy na tych wszystkich przejawach skromnej kultury swojskiej budować dalej.Uprzytomniając sobie, że stare formy życia muszą ustąpić miejsca nowym chcemy zachować skarby nagromadzone przez ojców dla przyszłych pokoleń, i jednych i drugich łączyć pasmem tradycyi. Dla nas wszystkie te przejawy życia swojskiego objawiające się bądź to w podaniach, bajkach i pieśniach, bądź to w obyczajach, strojach, budowie chat i świątyń, są fundamentem dla gmachu przyszłości, są tem, czem ziemia rodzinna dla drzewa. Jeż li uda się obcej ręce wykorzenić nas z tego podkładu, fala wynaradawiająca uniesie nas tam, kędy porwała zaginionych braci naszych na zachodzie, nad Odrą i Elbą.

Ponieważ w obecnej dobie fala giermańska ze szczególną siłą wali w podstawy naszego bytu narodowego, przeto i baczną będzimy zwracać uwagę na drogi i ścieżki, któremi ona wali na nas. Omawiać więc będziemy, o ile to możliwem w szczupłych łamach tego pisma, także zagadnienia charakteru społeczno-politycznego. System giermanizacyjny, wynaradawiający ma na Kaszubach wobec odmiennych od innych okolic warunków swoje odrębne środki, któremi dąży do swego celu. Będziemy się starali oświetlać ślady hakatyzmu u nas, posuwającego się bądź to z krzykiem wielkim, bądź to cichaczem, ażeby nie zaskoczył nas nieprzysposobionych.

W tym duchu pracując mamy nadzieję, że przysporzymy także cegiełkę na szaniec, który ma obronić nasze najswiętsze skarby narodowe.

Redakcya „GRYFA“.

Z niepisanej literatury kaszubskiej.



Bajki kaszubskie.

I. Wilk i jego podfrysztek. [1]

Tam dalek w Rusach, gdze swięty Mikołaj je patronem wilków, smniełо se wilkowi, że zjod dobry podfrysztek. Jak on se zbudzeł, tej on rzek do sebie:

„To beł piękny sen, ale jesz lepszy będze ten podfrysztek, co mnie se wesmnieł! Pudę, a on mie gwesno som w pesk wlecy!" — Bo wilk je bardzo głupy.

Tak on szed. Niedaleko zaszed, tak trafił na kozę z dwuma kozlętami. Widząc, pomeszloł sobie:

„Aha, to będze muj podfrysztek!" Jak on przeszed do nyj koze, on rzek: „Tero wom nic nie pomoże. Jo waju zjem. Naprod te twoje kozlątka, a potym cebie, staro. Bo mom głod, jaż flaci mruczą!"

A ta koza odrzekła:

„Tec możesz naju zjesc, ciej ju jinaczyj nié jidze. Ale rownak nom pozwolisz, że so przed smiercą pocerz zmowiema."

„Ale jo!" odrzek wilk. „Zmowta pocerz, a potym jo waju zjem!"

Koza podeszła do Bożymęci i jęła bleczec, a kozlątka za nią bleczałe jesz głosnij. A wilk niedługo wetrzymoł i jął wec.

Niedaleko za górą pas owczorz trzodę. Ten, czując

1) śniadanie.

blek i wecy wilka, posłoł swygo psa. Pies nadbieg, weszamotoł i pokaleczeł wilka tak, że on muszoł drawo ucekac. Mało go nie zażar.

A koza z kozlątkami ucekła.

Jak go ju pies więcyj nie gonieł, wilk stanął i so pomeszłoł: „To beł srodzi podfrysztek, nima co mowić! Jaci jo beł głupy!"—

Szed dalij. Tak za chwilkę on trafieł na swynię z sedem prosątkami.

„To będze dobry podfrysztek!" — pomeszłoł on sobie. A do swyni on rzek:

„Tero jo zjem waju wszescich, bo mom głod, jaż strach. Noprzod twoje prosątka, a tej cebie".

A swynia odrzekła:

„Możesz naju zjesc! Czymu nie? Tec ludze na to naju chowią, żebesma beła zjadły. Ale przed smiercą nom rownak jednę prosbę użeczysz?"

„Ciej le nie chceta mie ucec, to czymu nie?" odrzek wilk.

„Ma noprzod odmowiema rożańc, tej naju możesz zjesc!"

No dobrze! Wilk se zgodzeł. A swynia razem z prosątkami jeli kwiczec, a i wilk za chwilkę jął wec, le se tak rozlegało.

Uczuł to owczarsci pies, przelecoł, weszarpoł i pokaleczeł wilka, a swynia z prosątkami ucekła do dom.

A wilk se srodze zafrasowoł.

„To mie je podfrysztek! Ale zdrowo mie, czymu jo beł tyle głupy!"

I szed dalij. Tak natrafieł kurona. 1) „Aha!" rzek do sę, „to będze muj podfrysztek. Choc koza abo swynia

1) koguta

bełe lepszy, ale lepszy co niże nick!" więc rzek do kurona:

„Cebie jo tu zaru zjem. Bom niejod dzyso jesz nick, a głod mie morzy, jaż strach." Kuron też sę chcoł ofiarowac na podfrysztek, ale proseł wilka, żebe mu pozwoleł jesz roz przed smiercą sobie zaspiewac.

„To nimoże bec!" odrzek wilk. „Bo bes mie ucek!"

„Ciej te sę boisz, żebem ce nieucek," rzek kuron, „to trzymej mie za ogon, a jo so zaspiewom!"

Ciej tak, to wilk sę zgodzeł i chwecoł pesciem kurona za ogon, a nen zaczął skrzydłami trzepac i pioc. W tym ale wilka zaswędzeło jedno pióro w ogonie kuronowym w nos, a on muszoł cichnąc i popuscec ogon. Ledwo uczuł to kuron, tak podlecoł na drzewo i z wilka se wesmioł.

Tero wilk se srodze zasmuceł.

„Jaci jo rownak jem głupy!

Wszetko mie oszuko. Jo wiero ju dzys nie doczekom sę żodnygo podfryszteku!" W tacich meslach szed on dalij i natrafieł gęs. Zaro mu sę serce rozweseleło, i wpod na nę gęs.

„Te gąsko mie nie uńdzesz. Jo cę tu zaru zjem, jak te stoisz. Nareszce jem sę doczekoł podfryszteku!"

Ale gęs rzekła:

„Możesz mie zjesc, wilku, jo ce tego nie bronię i niebędę sę na to skarżec. Jo jem ju staro i joj niesc nimogę, a roz muszę umrzec gęsą smiercą. Ale wejle, jo od szesc niedzel sę niemeła, bom od tego czasu po roz pierwszy weszła z chlewa. Pozwól mie sę omec w jezorze, tej będę tobie też lepij smakowała!"

„Nie, na to jo niepozwolę!" odrzek wilk, „bo bes

te mie ucekła!“

„Możesz mie trzymac za ogon, pokąd jo sę będę meła,“ proseła gęs, „tej jo tobie ucec nie będę mogła!“ Wilk widząc, że gęs poprowdze niebeła meto od szesc niedzel, zgodzeł sę i szed za gęsą do jezora. Tam on sod na brzegu i trzymoł ję za ogon, a ona prała skrzydłami i lała karciem wodę na sę. Jak ona sę ju do połowę omeła, tej ona rzekła:

„Popusc że mie kąsk,[1]) cobem sę mogła głębij zanurzec.“

Wilk popusceł. W tym gęs sę zanurzeła tak głębok, że jaż w połowie jezora wepłynęła.

A wilk na brzegu lamańtowoł:

„Znowu mie uszed podfrysztek. Ach, jaci jo jem głupy. Nolepij be sę beło powiesec, bo jesz z głodu zdechnę!“

Tak on szed w smutku i mankolii dalij, jaż przeszed na jednę łąkę, gdze sę pasła kobeła ze zgrzebięcem.

„To będze muj podfrysztek“, rzek on sobie i polecoł do nyj kobełe.

„Cały reno ja biegom za podfryszteciem!“ rzek on, „a nimogę nic zdobec. Tero jo waju pożrę, cebie i twoje zgrzebiątko.“

„Tak to nie jidze!“ odrzekła kobeła, „bo jo mom taci list prze sobie, że te mie pożrec nimożesz!“

„Na taci list jo be beł cekawy“ odrzek wilk. „Bo chtuż mie może zakazac cebie zjesc. Nie chcesz te mnie tego listu pokozac?“

„Tu on je“ rzekła kobeła i podniosła przedną nogę. „Zazdrzyj le pod kopeto!“

1) trochę

Kobeła ale beła ostro kuto. Jak wilk tede postawieł sę i zazdrzoł pod kopeto, tak kobeła go buch! w łeb, tak, że go na miejscu ogłuszeła. Nim on przeszed do sebie, to kobeła ze zgrzebięcem ucekłe za dzesątą gorę.

„A to beł mie dobry podfrysz ek", stękoł wilk, a głowa go srodze bolała. „Jaci ja beł głupy, po tyle doswiadczeniach kobele pod kopeto zaglądac. To ale mie je nick a zdrowo!"

Tak wilk szed dalij i ju zwątpieł o podfryszteku, jaż on trafieł na polu starygo barana.

„Cebie jo tero zjem ze skorą i rogami," rzek on do niego. „Bo od samygo rena ubiegom sę za podfryszteciem i jem taci głodny, żebem kaminie mog grezc!"

„Zjedz mie!" rzecze baran, „bo mie sę ju przykrzy dłużyj żec. Jo jem stary, prze karnie ju nie chodzę, i nic po mie nie je na tym swiece. Jo cy nolepij som w gardło wlezę!"

To se wilkowi srodze widzało. A beło tam jezoro, o kawałuszk od brzegu beła góra. Tak baran rzek do wilka:

„Ustaw se kole jezora, a jo wlezę na tę gorę i sę zapuszczę, be tym lżyj w twoje gardło wlecec. Ale otworz szerok jak możesz twuj pesk!"

Tak wilk stanął kole jezora i otworzeł szczęci, a baran wloz na gorę i se zapusceł z całyj moce. A lecąc z gore, z taką sełą rogami we wilka buchnął, że ten wlecoł jaż w jezoro. Ledwo tam nie utonął.

Nim ale sę wedobeł na brzeg, ju baran beł precz.

„To mie poczestowoł podfryszteciem!" lamańtował wilk. „Głupszygo wiera zwierzęca nima na swiece, niże jo. Ale zdrowo mie, zdrowo!"

I z ciężcim sercem szed wilk do lasa, bo go tak

poczęstowele, że ju se jimu odechcało podfryszteku.

W lese on sod na wiełdzi pień i lamańtował:

„A, to mnie dele! zamiast podfryszteku pobile mie, i bełbem bezmała w jezorze utonął. Ale to wszetko przez moje głupstwo. Som niemeszlołem żem je tyle głupy! Niechże mie chto też zaru ogon za to utnie, bom na to sobie zasłużeł!“

Za tym pniem ale, na chternym wilk sedzoł, stojoł wypróchniały dąb. A w nim stojoł chłop z toporciem, co sę tam skreł. Ten czuł tę mowę wilka i jego życzeni: Niech mie tu chto zaru ogon utnie, bom na to zasłużeł!

„To te możesz miec wilku!“ rzek on do sebie, napluł w gorsc i ucął wilkowi ogon kole samygo chrzebta. Wilk ale chyże podskoczeł i ucekoł:

„Tero jo dostoł, co jo chcoł! Tero jo mom nolepszy podfrysztek!”

Tak to szło wilkowi, chternymu się smnieło o dobrym podfryszteku. Niech nicht nie wierzy w to, co mu sę smnije.



2. O żołmnierzu i żedze.

Beł to jeden żołmnierz polsci, co w polscim wojsku służeł sztere lata. A jak on wesłużeł, tej go puscyle i dele mu za te sztere lata służbe trze szostoci. Tak on poszed w swiat. Ale jego odzeż beła obdzarto, i bote sę rozłazele, a czopka na głowie wezdrzała tak, jakbe ptoche niebiesci mieli w nij gniozdo zrobiony. Na drodze on spotkoł jednygo żeda, chteren mioł trzos pieniędzy przewieszony. Tak on se zatrzymoł i rzek do nygo żeda:

— Wej le żedze, jak jo jem obdzarty. A jo jem rownak polsci żołmnierz, im sztere lata służeł ojczeznie. Dej mie trochę dutków, cobem so sprawieł węmps i cały bote! —

Ale żyd zacząn lamentować:

— Aj waj! Jo jem jesz biedniejszy, niż te. Jo nimom złomanygo szeląga pod duszą!—

Żołmnierz dobrze widzoł, że żyd mnioł trzos piniędzami nabity, ale robieł jakbe nigde nick, i rzek do żeda:

— Ciej te nick nimosz, tej ma są równy biedoci oboje. Poj tam pod Bożąmękę, będzema se modleła, żebe Pon Jezus se zmiełowoł i nom z biede wepomog. A może trzos pieniędzy weprosema!—

Żyd niechcoł jic pod Bożąmękę pocerz mowic, ale ciej żołmnierz zacząn sę gorzec, tej szed i klęk. A żołmnierz kląk za nim.

Żołmnierz se przeżegnął, a żyd wejąn swoje sznurci, obwiązoł je na ręce; tej przewiązał so taci guż na łesenę 1) i jął sę ciwac i na swuj sposób modlec. Tymczasem żołmnierz podnios mały kamiszk i cesnął 2) nim w drzewo Bożymęci, i se żeda spytoł:

— Czuł te co? —

— Nie, jo nick nie czuł! — odrzek żyd.

Ale żołmnierz podnios drudzi roz kamiszk i cesnął w Bożą mękę i se spytoł żeda:

— Czuł te co? —

— Nie jo nick nie czuł! — odrzek żyd.

Tak oni sę jesz chwilę modlile. Tej żołmnierz po roz trzecy wzął i cesnął kamiszciem w drzewo Bożymęci. A tej pytoł sę żeda:

— Czuł te co, żedze? —

1) czoło.

Ale żyd i ten roz nic nieczuł. Tak żołmnierz ale wstoł i rzek:

— Ale jo czuł dobrze, jak to nom znak dało. Wstań, bo Ponbog cę wesłuchoł i doł ce cały trzos pinjędzy. Tero poj, ma se na kaminiu podzelema.

Żyd se srodze przeląk, ale nimog sę dłużyj zapierac, bo żołmnierz widzoł, że on mioł trzos pełen pinjędzy, choc przedtym nick nimioł. Więc rod nierod wesepoł trzos na kamiń na jednę kupę i se dzelyle.

Ale żol mu rownak beło połowe swoich pieniądzy, i rozmyszloł le nad tym, jakbe je dostac nazod. Więc, jak oni se podzełyle, i zabierele sę kożdy w swoję drogę, pytoł sę żyd żołmnierza bardzo słodko:

— A chdze te sę tero udosz, żołmnierzu?—

— Jo pudę w swiat! — odrzek żołmnierz. — Bo nimom żodnygo doma. Ani ojca, ani matci, ani białci, ani dzecy, ani brata ani sostre, ani roli, ani chudobe. Pudę szczescu szukac! —

— To poj ze mną! — prosel żyd. — Jo ce dom jesc i pic i w posceli sę wespisz. A jak so odpoczyniesz, możesz jic dalij!—

Na to sę żołmnierz rod zgodzeł i szed z żedem do jego domu. Tam żyd zawołoł swoję białkę, Jidkę, i kozoł jij piec i gotowac co nojlepszygo. A ciej Jidka stoł dobrze zastawieła, i żołmnierz se zabroł do jedzeniu, żyd powiedzoł, że mo sprawunci na miesce i szed precz. A żołmnierz jod i pieł, bo beł bardzo głodny.

Żyd ale mu wechodzeł na zdradę. On nie szed na miasto po sprawunci, ale prosto do zomku, chdze mieszkoł starosta. Tam on se doł zaprowadzec do pana staroste i sę uskarżeł na nego żołmnierza:

— Wielmożny panie starosto! Aj waj, co mnie się stało! Szedłem so z handlem drogą, a wpod na mie taci polsci żołmnierz i zabroł mie całą połowę moich pinjędzy! —

— A jakżeż on wezdrzoł? — spytoł pon starosta.

— Taci obdzarty jaż strach! — odrzek żyd. — Odzeż dzurawo, bote sę rozłażą, a czapka na głowie wezdrzy tak, jakbe w nij ptoche niebiesci miele gniozda zrobiony. Nick na nim nie je cały, oprocz tyj skore, co ję ze sobą no swiat przenios! —

— Ciej te go tak dobrze opisoł, to ma go ju weszukoma.

A wiesz te też, że on z tymi pieniędzami ucek? —

— On je u mnie doma! — odrzek żyd. — I je i pije. —

— Ciej tak, to le go przeprowadz. Ju szubinica na niego czeko! —

Żyd pięknie podzękował panu starosce i szed do dom, żebe żołmnierza przeprowadzec. Ten prawie so gębę obceroł, bo mu dobrze smakowało. A żyd do niego rzek bardzo mile:

— Nasz pon starosta czul, że tu je polsci żołmnierz w miesce. On be cę rod widzoł i z tobą pogodoł o twoich wojnach. On prosy, żebes do niego przeszed! —

— Jo rod pudę! — odrzek żołmnierz. — Ale jakże mnie tam jic do tacigo wieldzigo pana, ciej jo jem tak bardzo obdzarty!—

— O to sę le nie kłopoc! — odrzek żyd. — Jo ce dom nowy węmps! —

— A kamizelkę też? —

— Też. —

— A czopkę nową też? —

— I czopkę jo ce dom,— rzek żyd i przenios ze szafe decht nowy węmps, i kamizelę i czopkę.

A jak sę żołmnierz w te rzecze ubroł, to wegłądoł jak istamantny graf. Ale tej jesz od żeda zażądoł nowych botów.

— I bote jo ce dom! — rzek żyd. I weszukoł decht nowy, i je pięknie wewiksowoł. A żołmnierz je obuł i rzek:

— Tero jo bem mog jic do pana staroste. Ale na dworze je czap.1) Jo sobem te swiecący bote decht poczapoł. Jo koniecznie muszę miec konia! —

A żyd weprowadzeł ze stani nolepszygo konia, weczeszczoł go zgrzebłem i szczotką i osodłol go dlo żołmnierza. A ten sod i rzek:

— Tero jo mogę stawic sę przed panem starostą! —

I jachoł, jak wieldzi pon do zomku, a żyd szed piechty za nim

Pon starosta prawie stojoł przed swoim zomciem, a żołmnierz pokłonieł mu sę bardzo pięknie, a pon starosta mu podzękowoł. A żyd wskazując palcem na żołmnierza rzek:

— To on je! —

— Te wiera oglupieł żedze? — odrzek starosta. — Ten pon

1] brud

be cy mioł pienędze wząc? Tec te mowieł, że to beł jacis obdzarty węder! —

— Ten żyd mo rozum pomieszany! — rzek tero i żołmnierz. — On gotów rzec, że ten węmps i czapkę i bote, co jo na sobie mom, są jego! —

— Jak Bog na niebie! — krzyczoł żyd, — że to je wszestko moje! —

On nawetk powie, panie starosto, że ten koń, na chternym jo jadę, je jego włosnoscą! —

— Jo przesygom! — krzyczoł żyd, — że i ten koń je muj!

— To je znak, że te jes, żedze, niespełna rozumu! — rzek kureszce starosta. — Noprzod te mowisz, że jacis obdartus cę obrabował, a tero te winujesz tego pana. Niech pon jadze z Bodziem! — rzek tej do żołmnierza, wszed w swuj zomk, i zamknął dwierze za sobą. Żyd lamańtowoł w niebogłose. Ale żołmnierz pojachoł w swiat i dobrze mu se powodzeło, bo beł szekowny i mioł konia i wiele piniędzy.



Czymu zajk nie żre mięsa.

Downij nie tyle zajk 1) ale i les 2) nie żar żodnygo mięsa. Tak jednygo dnia les pączci z krzoka obieroł i przeszed do niego wilk. Ten do niego rzek:

— Jaci te nędzny wiedzesz żywot! Wiecznie pączci obgrezac! Poj ze mną, jo ce weucze za rzeznika, co będzesz mog pieczynie jadac. —

Na to les se rod zgodzeł, i szli. Tak oni przeszli na jednę łąkę, a na nij pas koń! Les i wilk wlezle w cierz i sę schowele, be sę naradzec. A wilk rzek za chwilę do lesa:

— Zańdz le mie z przodku i obocz, cze mie sę slepie polą?

Les zaszed z przodku i wezdrzoł na wilkowe slepie, a te se polełe, jak węgle.

Tak wilk sę dalij pytoł:

— A obocz le, cze mnie skora burczy! —

1) zając 2) lis.

— Burczy jaż strach! — odrzek lis,
A wilk rzek po trzecy roz:
— A obocz le, cze mie sę ogon rucho! —
Les obocześ i rzek:
— Rucho sę, jaż wiater jidze! —
— No tede jo jem gotowy! rzek wilk i wepod z krza, rzuceł sę na konia i rozerwoł mu brzuch. Potym oni w dwojkę konia poszlachtowele. Tak les stoł sę rzeznicie.

Nauczywsze sę tak tanym kosztem rzeznictwa, les szed dalij. Tak on natrafieł w polu zajka, co też liste i pączci zjodoł:

— Jaci to jes głupy, zajku! — rzek on do niego, — że te sę jarmużem żewisz. Mięso wiele lepij smakuje i do więcyj moce. Żebes te mięso jodoł, to bes te wnetk uros i beł mocniejszy, niż kożdy pies! — Poj ze mną, jo cę wyucza za rzeznika! —

To se srodze widzało zajkowi i szed z nim. Tak oni znowu przeszle na jednę łąkę, gdze pas koń. A les wszed w cierz i rzek do zajka:

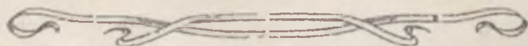
— Zdrzyj le, cze mie sę ocze polą! —
— Polą sę, jak zarzewi! — odrzek zajk.
— A zdrzyj le, cze mie skora burczy! —
— Burczy jak bęben! — odrzek zajk, — i je decht szado!—
— A obocz le, cze sę muj ogon rucho! —
— O, rucho sę, rucho! — rzek zajk, — jak szady cierz, ciej wiater nim szamoce! —
— To tede je czas! — krzyknął les i rzuceł sę k'koniu.

Ale koń go prędzej uzdrzoł, nim on do niego dobieg. Jak wzął, tak wemierzeł mu kopetem w łeb, że od razu lesa zabieł.

Zajk to widząc, bardzo se zląk i rzek do sebie:

— To je rownak srodze niebezpieczny rzemiosło, to rzeznictwo. Wolę jesc pączci, leste i trowę, niż dostac kopetem w łeb!—

I od tego czasu mięsa zajk żodną miarą be nieruszeł.



Chaty podcieniowe w Skorzewie
Przyczynek
do historyi budownictwa ludowego na Kaszubach.

I.

Jeszcze po dziś dzień mimo konkurencyi, jaką kamień i cegła w nowszej technice budowlanej jemu tworzą, drzewo, jako materyał budowlany odgrywa na Kaszubach wielką rolę. Na północnych Kaszubach, prawda, przestało ono już dawno, po wytrzebieniu lasów i borów, tworzyć wyłączny materyał, a miejscami, jak w nadbrzeżu morskiem, nigdy go nie tworzyło. Na południu zaś i na zachód, ku pomorskiej prowincyi, zajmuje drzewo jeszcze dominujące stanowisko.

Szczególnie w powiatach kościerskim, chojnickim i południowej części powiatu kartuskiego większa część wsi składa się jeszcze z domów drewnianych i słomą krytych, a w kilku miejscach stare świątynie z drzewa świadczą o tem, do jakiej doskonałości rodzimi mistrze w zastosowaniu drzewa dochodzili. Dziś ta sztuka powoli ginie, a to głównie z przyczyny drożyzny drzewa. Fiskus leśny bowiem z biegem czasu stał się wyłącznym panem rozległych borów i stąd ceny drzewa podskoczyły w sposób niebywały. Dzisiaj już cegła jako materyał budowlany wypada taniej, a właściciel domku murowanego ma i ten zysk, że towarzystwo zabezpieczenia od ognia wyższą mu w razie pożaru wypłaca sumę asekurancyjną. Mimo to powstają jeszcze po dziś dzień domy budowane „w srąb",— tak tu zowią budowanie z drzewa,— bądź to, że gospodarz posiada kawał własnego boru, bądź to, że mu się uda za tanie pieniądze nabyć starą stodołę, wzniesioną w owych czasach, kiedy drzewo nie miało tej wartości, co dzisiaj.

Do tych wiosek, które zupełnie jeszcze stoją pod znakiem budownictwa drewnianego, należy wieś Skorzewo, położona nad szosą kościersko-kartuską, w południowej części powiatu kartuskiego, o 5 kilometrów oddalona na północ od Kościerzyny.

Na zachowanie wiosce tego charakteru złożyła się pewna szczęśliwa okoliczność. Gospodarze bowiem wiejscy, czyli gburzy, jak ich na Kaszubach zowią, mieli prawo brać z okolicznych królewskich borów każde usychające drzewo, t. zw. suszkę, jeżeli

takowe potrzebowali do własnego użytku. Zdarzało się więc, że taki gbur poczciwy poszedłszy do boru szukać suszki, wypatrzył sobie zupełnie zdrową sosnę, a pragnąc z niej zrobić suszkę, wywiercił dziurkę w pniu i nasypał weń soli. Przekonawszy się przedtem, że oko leśniczego nie widzi go, zażył tabaki i odszedł w miłej nadziei, że za rok będzie sosna jego własnością i powędruje w ścianę jego domu, lub stajni czy stodoły.

Przywilej taki został w drugiej połowie zeszłego stulecia zniesiony jednorazowem odszkodowaniem, lecz istnieniu jego zawdzięczamy, że Skorzewo posiada jeszcze po dziś dzień charakter wioski z drzewa budowanej, nadzwyczaj bogaty materyał zawierającej dla badacza naszego budownictwa ludowego. Wśród tych chat drewnianych i słomą krytych na pierwszy rzut oka podpadają tak zwane domy podcieniowe, posiadające w szczycie podcienie, czyli po kaszubsku wystawek (wystowk). Takich domów naliczyłem tu 8. Wspólne tym wszystkim domom jest, że stoją szczytem do ulicy. Ściany są budowane z bierwion sosnowych, ociosanych, położonych poziomo warstwami, jedna na drugą, a na węgłach domu połączonych w tak zw. zamek (po kasz. zomk), tak że powstaje róg zupełnie gładki. Miejscami tam gdzie długość pnia nie wystarczała dla całej długości chaty, w połowie przestrzeni ściany znajduje się pionowo ustawiony słup, mający po obu bokach wydrążenie, w które wchodzą odpowiednio przycięte końce bierwion. Okna są małe. Dach kryty słomą, a grzbiet jego umocniony „kozłami" t. j. drzewcami długości 1 i pół metra, schodzącemi się nad grzbietem dachu i połączonemi tamże kołkami drewnianemi, tak że siedzą na dachu jak jeździec na koniu. Kozły, obok siebie o stopę odległości na grzbiecie dachu siedzące, spowodują, że grzbiet dachu wydaje się jakoby najeżony rozchodzącemi się kolcami.

Wśród chat podcieniowych podpada chata Kropidłowskiego, której podobiznę i rys poziomy podajemy. Zaznaczamy ale z góry, że nie jest ona typową, gdyż nie widzieliśmy jeszcze chaty podcieniowej na Kaszubach, której wystawek na jednym słupie spoczywający zająłby połowę szerokości boku szczytowego Natomiast jest to podług opowiadań mieszkańców najstarsza chata w Skorzewie. Wiek jej podawają na przeszło 100 lat. Była to pierwotnie chata zagrodowa, zbudowana przez niejakiego gbura Herona. Z biegiem czasu zginęły budynki gospodarcze, gbur wystawił

sobie nową chatę, a stara została mieszkaniem robotników czyli chłopów. Dla braku stajen po dziś dzień jedna część, stanowiąca komorę i małą izbę, służy jako chlew dla bydła. Jest to część położona obok wystawka, gdzie i zewnętrznie widzimy zabitę żerdziami ślady okna.

Szerokość chaty (z wystawkiem) wynosi 6,45 metrów. Szerokość wystawka 3,35 m., to jest przeszło połowę szerokości boku szczytowego. Dodajemy tu nawiasem, że zazwyczaj szerokość wystawka wynosi jedną trzecią boku szczytowego. Długość chaty zewnątrz wynosi 10,75 m. Zbudowana z ociosanych bierwion, na węglach kładzionych „na zamek.“ Podczas kiedy boki szczytowe składają się z całych poziomych pni sosnowych, długi bok, prawy od wejścia w odległości 4,15 metra od rogu, okazuje pionowy poprzecznik w ścianie, posiadający wyżłobienia odpowiednie, w które końce odpowiednio przycięte bierwion są wpuszczone jak w ramy i to bez umocnienia kołkami. Jest to już zaczątek panującego dziś budownictwa w ramy dla braku odpowiedniej długości drzewa.

Wracając do wejścia chaty, to przedostatnia belka wyciągnięta przez całą szerokość boku szczytowego i włożona w odpowiednie wycięcie słupa wystawkowego i zakołkowana. Nad wystawkiem belka ta jest wycięta w formie łuka płaskiego. Łuk ten uzupełniony jest zastrzałem, łączącym belkę poziomą z słupem wystawkowym. Wiązanie zastrzału jest zewnętrznie widocznem, gdyż wchodzi wyciętemi odpowiednio końcami w odpowiednie wycięcia belki i słupa. Zastrzał przymocowany kołkami drewnianemi. Sposób ten, t. j. w układanie ścian z poziomych bierwion, łączenie ich na węglach na zamek i zastosowywanie zastrzałów z wiązaniem widocznem na zewnątrz, tworzy podług Mokłowskiego (Kaź. Mokłowski, sztuka ludowa w Polsce) charakterystyczną cechę budowania słowiańskiego w przeciwieństwie do ryglowki (Fachwerk) i czopowania z ukrytem połączeniem części składowych (Zapfen), które znamionują sposób budowania niemiecki. Dodać należy, że od ziemi do dachu wysokość chałupy wynosi 2,10 metrów. Szczyty pionowo ucięte są obite deskami przymocowanemi, także kołkami drewnianemi. W szczycie znajduje się otwór okrągły.

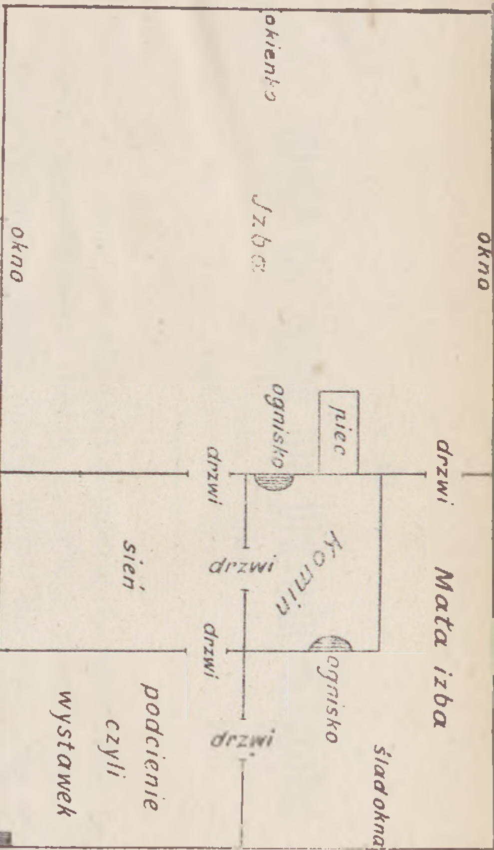
Wszedłszy do wystawka, zwanego podług tłómaczenia ludu

tak, gdyż „wystawia“ się weń sprzęty gospodarskie, widzimy stołki, kubły, kosze, widły leżące na brukowanej podłodze. Głębokość wystawka wynosi 2,57 m. Stąd dwoje drzwi prowadzą do chaty. Jedne na prawo (niewidoczne na rysunku) do małej izby (patrz rys poziomy), służącej obecnie jako chlew dla bydła. W niej spostrzegamy jeszcze kominek, na dowód, że służyła dawniej na mieszkanie ludziom. Od rogu komina w tej izbie do prawej ściany szła podobno dawniej ściana (nb. nie umieszczona w rysie poziomym), odgradzająca małą ciemną komorę. Drugie drzwi wiodą wprost do sieni, krytej powałą z desek i ciemnej. Jej głębokość wynosi 2,40. Cały prawy jej bok zajmuje murowany z suszonych cegieł ogromny komin z szerokiem, drzwiami zamkniętym wejściem, który służył dawniej za kuchnię. Dziś znajdujemy tam trzodę gęsi Reszta ścian sieni jest z drzewa.

Z sieni znowu drzwi prowadzą do obszernej izby mieszkalnej, zajmującej mniejwięcej połowę obszaru całej chaty. Zaraz na prawo od wejścia widzimy kominek, w który atoli już wmurowana nowoczesna żelazna płyta. Dalej jest obszerny piec, odgradzający od reszty izby obszerny zapiecek (zopieck), ulubione miejsce starych. Tam też spostrzegamy drzwi, zabite dziś gwoździami, do dawnej komory. Okień posiada izba troje. Największe znajduje się w lewej od wejścia ścianie, a składa się z dwojga skrzydeł, z których każde ma po 8 szyb szklannych, wysokich około 15, szerokich na 10 cm. Drugie okno w przeciwnej od wejścia ścianie jest mniejsze, bo posiada 4 szyby powyższych rozmiarów, trzecie okno zaś w prawej ścianie tylko dwie nieco większe. Podłoga gliniana, ściany tynkowane wapnem, a piec także. Na sprzęt i ustawienie tegoż nie zwróciliśmy uwagi, gdyż w obecnych warunkach jako mieszkanie odnajemne, urządzenie izby nie jest ciekawem. Dodać by tylko należało, że bierwiona, z których chata jest budowana, są nadzwyczajnej grubości i jeszcze zupełnie zdrowe, tak, że okaz ten budownictwa ludowego może się doczekać jeszcze długiego wieku, jeżeli nie zostanie rozebranym lub zniszczonym przez siły przyrody



Chata stuletnia Kropidłowskiego w Skorzewie.



Rys poziomy.

Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube!

Obrazek z Kaszub.

Napisał . . . . .

I.

Żył sobie w wiosce Czornieżu na Kaszubach stary karczmarz Mateusz Bieszk z synem Wojtkiem. Żona go odumarła, kiedy młody Wojtk dorastał do wieku, w którym każdy chłopiec musi się stawić „na miary“ przed komisyę królewska, która mu naznaczy w jakim rodzaju broni i w którym pułku królowi jako żołnierz służyć będzie. Od śmierci swej żony stary Bieszk stracił swą czerstwość dotychczasową, tak że starość nań wystąpiła jak siwy szron jesienny siada na chacie drewnianej i słomą krytej wiejskiej. Lecz kiedy młody musiał do pułku piechoty w Gdańsku, stary jak dawniej krzątał się koło karczmy i gospodarstwa. Karczma znajdowała się w posiadaniu jego rodziny już od kilku pokoleń i stąd obok familii sołtysa Zmudy Trzebiatowskiego, która jakoby dziedzicznie dzierżyła sołtysostwo, rodzina Bieszków była najzamożniejszą i najwidzialszą we wsi. Obecnie nawet te dwie rodziny miały ze sobą wejść w ściślejszy stosunek. Zmuda bowiem obok pięcioro synów miał córkę jedynaczkę, którą stary Bieszk wypatrzył dla swego syna. Lecz do urzeczywistnienia swego planu chciał stary Bieszk przystąpić dopiero po odbyciu służby wojskowej i po powrocie Wojtka do domu.

Jakoż minął czas służby wojskowej i nasz Wojtk był w domu, więc też stary nie mieszkając, przystąpił do realizowania swych zamiarów. Stary Zmuda, ojciec Maryszki, był gburem*) i rybakiem i nie bez przeszkód

*) gospodarzem

szły układy pomiędzy starymi ze względu na ułożenie wysokości posagu. Stary Bieszk był twardy, jako Kaszuba, a ojciec Maryszki, jako szlachcic kaszubski. I dumnym był na to swoje szlachectwo. A chociaż nie różnił się ani większym majątkiem ani zewnętrznym wyglądem od innych gburów wsi Czornieża, jednak cenił siebie wyżej od nich i kazał się tytułować waspanem. Tytuł taki przysługiwał mu bowiem jako szlachcicowi podług starej tradycyi na Kaszubach panującej. —

Targi o posag uwieńczone zostały nareszcie układem, mocą którego obok pięciu set twardych talarów, jakie Maryszka dostanie jako wiano, jej przyszły mąż otrzyma prawo do połowy jednej toni na Czornieskim jeziorze. Stary Zmuda posiadał ich dwie, a całej nie chciał ustąpić dla przyszłego zięcia.

Już miano dać u księdza jegomości w Brusach na zapowiedzi, aż tu raptem, jak piorun z nieba, spada „ordel,“ że wojtk ma się niebawem stawić do wojska. Gruchnęło po całej okolicy, że wojna. Trudno! — Nasz Wojtk musiał odłożyć swadźbę i wesele i iść w służbę królewską.

Szedł on już raz w tę służbę i smutnie go wtenczas żegnali ojciec i towarzysze, ale mieli pewność, że wróci im za trzy lata, jeżeli go nie zabierze wcześniej śmierć po ludziach chodząca. Lecz ten raz było inaczej. Czekała go walka, przelew krwi, i śmierć może. Będą nadsłuchiwali ojciec i dziewczyna wieści z dalekiego pola. Wyśni się komu biedny Wojtk, leżący martwy na krwawem polu, a nad nim czarne kruki, — stanie zegar na ścianie, a za dni kilka doniosą z wojtowstwa, że tam a tam padł śmiercią walecznych Wojtk, syn karczmarski z Czornieża.

Takie myśli, jak chmury po jesiennem niebie, chodziły po głowach ojcu i dziewczynie. Lecz za nic na świecie ani jedno ani drugie nie byłoby swego bolu pokazało Wojtkowi.

Taka to już natura u Kaszuby. I u niego w piersi wre ta głęboko czująca, tkliwa i burzliwa dusza słowiańska. Lecz on kryje swój ból i nie pozwala mu wybuchnąć, chociaż w głębi duszy wzdyma się uczucie siłą wulkaniczną. A kiedy już zmódz się nie może, to jak zwierz dziki ucieka w ustronie, gdzie tylko sarna leśna patrzy na mękę swego prześladowcy, a niewdzięczna ziemia pije jego łzy. Bóg je tam widzi i liczy.—

Kiedy Wojtk żegnał się z starym ojcem, ten lekko drżącym głosem odezwał się:

— Niech cę prowadzy Pon Bog i Matka Nojswiętszo! A mów pocerz reno i wieczór. — Dołem, Bogu nie wemowiając, na trze msze swięty za duszę nieboszczyce matci, cobe sę prędzej wedostała z ognia czyszczowygo i mogła Matkę Nojswiętszą ustnie za cę prosec. Wjedno to je lepij, ciej chto ustnie sę za cim wstawi, niże z tak dalecij strone, jak z zemni do nieba. — A bocze, że Bog je mocniejszy, niż wojska i kanone! —

I dziewczyna żegnała go suchem okiem, lecz Wojtk widział, że hamuje się wszelkiemi siłami. I dziwna rzecz! teraz dopiero, w tej chwili rozstania się może na zawsze, Wojtk poczuł, że kocha doprawdy tę dziewczynę.

Nie zastanawiał się dotąd nigdy nad swym stosunkiem do Maryszki. Ojcowie ich chcieli zdać, on się na ich wolę godził, bo hoża była dziewczyna i gospodarna, ona zaś też się zgadzała, — i z tem dobrze. Teraz kiedy go żegnała, poczuł, że nietylko z „woli starszych“ doń należy, ale że są jakieś inne ogniwa ich łączące.

I dziś dopiero widział, jaka ona kształtna i miła i piękna dla oka i pomyślał, jak dobrze i słodko by było, zostać z nią w wiosce i gospodarzyć. Dał też wyraz swemu uczuciu, mowiąc:

— Lepij be beło, ciejbes beła weszła do mnie obdzarto i brzedko na twarze, niż tak . . .

Nie dopowiedział, lecz dziewczyna rozumiała szczere pochlebstwo i ledwo spostrzegalny smutny uśmiech przeleciał przez jej twarz hożą i zaświecił w jej modrych, jak jeziora kaszubskie, oczach.

— Jidz z Bodziem, Wojtku! Nojswiętszo Panienka będze cę strzegła. Będę je o to prosec reno i wieczorem! —

I szedł Wojtk. Odprowadziła go, aż hen za Bożąmękę, stojącą przed wioską na straży, zgraja dzieci i wyrostków wespół z kilka starszymi. Pomiędzy tymi znalazł się „głupi" Lala, muzykant, który odchodzącemi śpiewał pieśni żołnierskie. Dziewczyna stała pod wystawkiem domu drewnianego, póki nie zginęli za wsią, i łowiła uchem śpiew smętny Lali:

— Wodko, wodko, wodko zelono!
Chtuż cę będze wodko piel,
Ciej jo będę wrogów bieł?
Wodko, wodko, wodko zelono!

I ciszej już i dalej doszła ją zwrotka inna:

Żonko, żonko, żonko kochano!
Chtuż cę będze żonko kochoł,
Ciej jo będę szablą mochoł. . . .

Ucichł śpiew. Wojtka nie było. Dziewczyna wróciła do izby, uklękła przy łożku, głowę głęboko zanurzyła w pierzyny, i tylko gwałtowne drgania jej giętkiego i silnego ciała zdradzały, że płacze płaczem rozpaczliwym

i ciężkim, który by rozsadził to biedne serce młode, gdyby nie znalazł upustu. Przez trzy dni chodziła Maryszka jak osłupiała po gospodarstwie, nie jedząc strawy, a nocą zatykając usta sobie poduszką, by nie krzyczeć na głos i nie zbudzić rodziców. Ci też jej dali folgę, bo i im samym jakoś było, — aż nareszcie stary Zmuda rzekł:

—Tero ju przestań z tym beciem. Ciej mu je namnieniony, że żyw wyńdzie ze sprawe, to indzesz go miała. A ciej nie, to żoden płacz nick nie pomoże. Na to on chłop. be doł krew za krola! —

Powoli też pod wpływem pracy w gospodarstwie od wczesnego rana do wieczoru, pierwszy gwałtowny ból dziewczyny ustąpił cichej rezygnacyi. Minęło lato. Nadchodziły wieści, że Francuz pobity na głowę, że sam cesarz Francuzów wzięty w niewolę; a od Wojtka parę razy nadeszły listy, więc musiał być żyw. Aż tu nareszcie nadeszła od Wojtka nowina, że wracają wojska do ojczyzny i że i on niebawem stanie w swej ojczystej wsi Czornieżn. Jakoż kiedy żyta żołte dojrzewające oczekiwały już kosy żniwiarzy, zjawił się Wojtk, ogorzały i jakby rozrosły i silniejszy, niż przedtem. Witali się z nim znajomi, wypytując o przygody i podziwiając go. Lecz swej Maryszki między niemi nie widział. Przywitawszy się z ojcem w rodzinnej chacie, pierwsze stawił pytanie o Maryszce. Stary odrzekł:

—O to le bądź spokojny. Ona cę chce, jak downij. Co sę dzewka nie nabeczała i nie natruła, o tym dobrze wiem! —

Wojtk był uspokojony. Stary Zmuda także go przyjął z oznakami radości, jak syna. Lecz napróżno

on szukał oczyma swej Maryszki. Stary odgadłszy, uśmiechnął się i rzekł:

— Maryszka dzys je prze praniu. Ale przyńdź le w niedzielę. Tu ce nicht na zdradę nie jidze!—

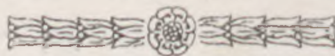
Widocznie Maryszka go unikała z razu, chociaż widział, że przechodząc przez wieś stała za oknem i ciekawie go śledziła oczyma. Wstydziła się wprost biedna dziewczyna, że cała wieś opowie Wojtkowi, jak za nim tęskniła. A teraz się bała, patrzeć mu w oczy!—

Wojtk zaś, umówiwszy się z przyszłym swym teściem na łów ryb, poszedł do domu, by obuć rybackie buty i włożyć na głowę „mucę" kaszubską dla zimna, które zawsze panuje wieczorem na jeziorze. W rękę zaś wziął wiosło i tak udał się wzdłuż brzegu jeziora do umówionego miejsca, którem był półwysep, jaki kwadrans od wsi oddalony, zwany Józwową kępą.

Idąc tak wzdłuż brzegu i omijając zarośla, które miejscami wchodziły w samą wodę, ujrzał na wolnem brzegu stojącą powyżej kostek w wodzie dziewczynę, w krótkim, ledwo niżej kolan sięgającym, czerwonym spodniku, w obcisłem staniku bez rękawów, która tam oczywiście prała bieliznę, gdyż kosz stał obok. Od razu przenikła serce Wojtka myśl: to Maryszka.

Więc tak ostróżnie, jak się w ciężkich butach rybackich dało, zbliżył się, ale kroki jego skrzypiące na białym piasku zdradziły go, a dziewczyna uniosła się z schylonej nad wodą postawy i obejrzała się.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Książki i czasopisma.

Die Tuchler Heide in Wort und Bild in zwei Bänden. Von Johannes Mühlradt. Druck und Kommissionsverlag von A. W. Kafemann G. m. b. H. in Danzig 1908.

Autorem książki, której tom I. mamy przed sobą, jest pastor luterski p. Mühlradt w świeżo utworzonej parafii Płoczyczno, przechrzczonej na kulturalniejsze „Grüntal." Wieś ta leży w północnej części tucholskich borów, a należy jeszcze do powiatu kościerskiego. Kto wnioskując z tytułu książki spodziewa się treściwego opisu borów tucholskich, dozna po przeczytaniu niemiłego rozczarowania. Autor zna bowiem tylko leśniczych i nauczycieli król. pruskich, pozatem zaś więcej wie o ptastwie i roślinności, niż o zamieszkującej bory ludności polskiej. Jeżeli się zaś zajmie życiem tej ludności, to czyni to w stylu naukowym „Ostmarki." W ten sposób przeplatając pracę przedrukowanemi wycinkami z gazet, zapełnił autor całe 339 stronic druku. Wśród tekstu, jak rzadkie ziarna wśród plew, napotykamy kilka dobrych illustracyi podług doskonałych zdjęć fotograficznych. Kto przewertowawszy karty tej książki, obejrzał sobie illustracye, większy odniosł pożytek niż gdyby przeczytał całą od deski do deski. Dziwnie ujemny sąd musi mieć p. Mühlradt o publiczności, dla której książkę swą przeznaczył. Dla bliższego scharakteryzowania tej pracy wystarczy wyjąć dwa punkty.

Na stronie 144 autor skarży się, że polska ludnośc borów nienawidzi tamtejszych Niemców. Tymczasem z każdej stronicy jego książki wieje wprost fanatyczny duch nienawiści do polskości. Niejedne miejsca robią wrażenie, jakoby autor chciał niemi uzasadnić podwyższenie dodatków kresowych.

A potem dział historyczny! Jeżeli Klio spazmów nie dostała, to może dla tego, że uważała odnośne ustępy za humorystyczne skoki à la Busch. Pomerele podług autora (str. 45 i 46) są zachodnią częścią Pomorza, co nie przeszkadza, że stolicą jest pomiędzy innemi miastami i Gdańsk. Sambor I. i Sambor II są jedną osobą, która więc musiała biblijnego się doczekać wieku. Swiętopełk

Wielki jest protoplastą Sambora I. podług autora więc swoim własnym dziadkiem. —

Humor autora jest w każdym razie lepszy niż jego własnoręczne poezye, któremi książka gęsto przeplatana. Jeżeli język tych wierszy ma być językiem Szyllera, to autor musiał zamiast pegaza dosiąść poczciwego wołu, który podobno razem z Pegazem Szyllerowskim ciągnął przez pewien czas przy jednym pługu.

Autor na dobitkę zapowiedział tom II w tej samej materyi.— Co to będzie, co to będzie!

Idea słowiańska na Kaszubach Szkic historyczny. Skreślił Konstanty Kościński. Poznań 1908. Autor, który się już i przedtem kwestyą kaszubską zajął w swej broszurce „Kaszubi giną“, stara się w powyższej pracy dać pogląd na rozwój idei panslawistycznej na Kaszubach. Nowem w niej spis aczkolwiek niewyczerpujący dzieł śp. Ceynowy, który w takim komplecie jeszcze nie był zestawiony. Reprezentantem głównym idei panslawistycznej na Kaszubach podług autora jest Dr. Ceynowa. Data śmierci Ceynowy autorowi nieznana, jest to, jak nawiasowo dodajemy, dzień 26. marca r. 1881. — „Idea słowiańska na Kaszubach“ wyszła zrazu jako szereg artykułów w Dzienniku Poznańskim. Aczkolwiek w broszurze autor swoją charakterystykę Cejnowy nieco złagodził, jednak żadną miarą na nią się zgodzić nie możemy. Zaznaczając z góry, że idei separatystycznej Ceynowy nie przyjmujemy, to jednakowoż odmówić nie możemy nieszczęśliwemu działaczowi gorącej miłości ojczyzny i ciężkiej pracy około zbudzenia Kaszub, pracy wykonanej w najtrudniejszych warunkach Zbiór jego przysłów kaszubskich jest do dziś dnia najlepszym w swoim rodzaju. Prócz tego pierwszy on był, który pieśni i podania ludowe na Kaszubach zbierał. Myli się autor twierdząc, że pisma Cejnowy nie posiadają wartości naukowej. Przeciwnie, badacze narzecza kaszubskiego cenny w nich upatrują materyał.

Kto z punktu widzenia dzisiejszych stosunków rysuje obraz Cejnowy, lub nawet przykłada doń miarę wykształceniu salonowego, jak to czyni autor, ten stworzy karykaturę. Cejnowa był synem rewolucyi i sam brał czynny udział w oswobodzeniu ojczyzny

orężem. Syn kowala, urodzony demokrata. patrzał on na giermanizacyę swego ludu przez kościół za czasów biskupa Sedlaga. Szlachtę kaszubską znalazł albo zgiermanizowaną albo z obojętną pychą odsuwającą się od gbura i chłopa kaszubskiego. Czy dziw, że wydobywszy przeciw tym warstwom język ludowy i jego wierzenia, w pierwszym zapale wystrzelił po nad cel? Już sam wzgląd na to, że nad Cejnową wisiał przez pewien czas topór katowski za podjęty napad na huzaryę starogardzką, powinien był autora „Idei słowiańskiej na Kaszubach“ wstrzymać od niesmacznych drwinek i niedomówionych podejrzeń względem Cejnowy. Za swe błędy on odpokutował ciężko, gdyż żył dosyć długo, ażeby patrzyć na bezowocność swej pracy. Mamy nadzieję, że przyszły czas oceni go sprawiedliwiej od autora broszury.

Mitteilungen des Vereins für kaschubische Volskunde. Heft I, Heft II. Leipzig. Otto Harassowitz 1908. Ruchliwy „Verein für kaschubische Volkskunde“ wydał dotychczas dwa zeszyty po dwa i trzy arkusze druku. Ze wstępu w I zeszycie dowiadujemy się, że V. f K. V. zamierza zająć się historya. mową, nazwami, tradycyami, wierzeniami, zabobonami i obyczajami Kaszubów. Na drugim miejscu podany jest rys pisowni kaszubskiej, która, jak równocześnie zaznaczamy, naszem zdaniem będzie przeszkodą w zbieraniu oryginalnych tekstów kaszubskich przez laików bez wykształcenia filologicznego. A na takich V. f. K. V. musi się opierać, jeżeli chce dopiąć celu. — Następują dwie rozprawy, — przez prof. Juliusza Koblischke i Dr. F. Lorentza, — o nazwie Słowińców t. j. Kaszubów, zamieszkałych nad ujściami Łeby i Lupawy. Prof. Koblischke przeczy jakoby tameczna nazwa Słowińców była rodzimą, co zbija p. Lorentz, mając za sobą przekonywujące dowody. — Ciekawe też jest studyum Lorentza o „Czarnym i Białym Bogu.“ Nareszcie spotykamy w zeszycie jedną piękną pieśń ludową, jedno podanie z powiatu puckiego, kilka przysłów i łamigłówek oraz sposoby leczenia z parafii wielewskiej. Pierwszy zeszyt zawiera także wstęp do studyum genealogicznego przez p. Iwana Damerau-Dambrowskiego. Rozprawa ta zajmuje także lwią część zeszytu II.

„Mitteilungen“. Autor zastanawia się w niej nad kwestyą, czy dziś istniejące przydomki szlachty kaszubskiej, czyli też nazwiska oznaczają pierwotny rod, a czyni to w szczególnem odnoszeniu się do familii Mądrych i Dąbrowskich. Chociaż wiemy, że styl niema żadnego wpływu na wartość naukową, nie możemy się jednak wstrzymać od uwagi, że styl rozprawy p. Damerau-Dambrowskiego jest zbyt napuszony i kaznodziejski, wywołując miejscami wrażenie, jakoby autor strzelał z armat na bąki. — Ukończenie rozprawy zapowiedziane w III. zeszycie.

W drugim zeszycie znajdujemy też zbiór dotychczas znanych nazwisk szczepowych kaszubskich przez Dr. Lorentza. 22 nazwy takie wylicza autor, a mianowicie: Belokòw, Borowioków, Bracoków, Drobolokòw, Fejn- i Greb-Kaszubów, Feteroków, Gorolów, Gochów, Holandrzan i Żyławian, Istków, Kabotków, Karwotków, Kaszebów Żarnowieckich, Kidląnów, Koczewioków, Korczoków, Krajnioków, Krokowioków, Lesoków, Łeczoków, Ninioków, Polan, Reboków i Słowińców.

Resztę zeszytu drugiego zajmują rozprawa Dr. Lorentza o nazwie Pucka, wstęp do rozprawy o chatach gburskich, nazwy, pieśń ludowa, kilka podań, przysłowia z Chmielna, łamigłówki, zabobony i lekarstwa ludowe.

